

## Wróg się rodzi na naszych oczach

**«Bardzo się cieszę, że ktoś w Toruniu zajął głos w tej sprawie. Przez lata lokalni artyści opisywali całą przestrzeń naszego małego życia społecznego, skrawek po skrawku odkrywali fragmenty lokalnej mitologii, ale solidarnie nie zauważali słonia w pokoju.**

Wątek Radia Maryja przemilczała toruńska literatura i sztuka współczesna; nie zajmowali się tym regionalni filmowcy, próżno było go szukać w muzyce. Wypowiedzi artystyczne na ten temat można policzyć na palcach jednej ręki. Cieszę się zatem, że głos w tej sprawie popłynął z instytucji publicznej, która od lat konsekwentnie i programowo nie oglądała się na rzeczy lokalne.

Ktoś w końcu postawił wyraźną granicę i głośno w sztuce wypowiedział zdanie, które od lat przewijało się przez media i analizy socjologów: mieszkańców Torunia i Radio Maryja łączy tylko wspólny kod pocztowy. Ktoś się odważył wypowiedzieć głośno, że prawdziwym matecznikiem tej stacji jest endecki nacjonalizm, a nie miasto, które wielokrotnie podczas swojej burzliwej historii przypominało, że bliska jest mu idea dialogu. Rozgłośnia z ul. Żwirki i Wigury to nie jest krew z naszej krwi.

### W tym samym stylu

"Wróg się rodzi" na podstawie tekstu Marcina Kąckiego i w reżyserii Anety Groszyńskiej miał być próbą opisu społecznego fenomenu Radia Maryja, ale właściwie wszystko w tej analizie ogranicza się do powielania tych samych od lat tez i diagnoz. Od ponad dwóch dekad wiemy, że zakonnicy żerują na starych Polakach, że radio skutecznie potrafi zaszczyć swoich politycznych adwersarzy, że w eterze równie często jak modlitwę usłyszemy numer radiomaryjnego konta. I że radio apeluje o Polskę niepluralistyczną, ksenofobiczną, skrojoną według jednego wzoru, który w gromadzie trzyma zaledwie kilka haseł i toksycznych emocji.

Liczy się tu tylko wspólny wyimaginowany wróg, który cały czas się zmienia. Raz jest Żydem, raz Niemcem albo Rosjaninem; innym razem przedstawicielem cywilizacji śmierci, Unią Europejską, muzułmaninem, LGBT i gender. Radio rozmyślnie kłamie, manipuluje, wprowadza w błąd, skłóca, wykorzystuje finansowo i emocjonalnie - jest bez wątpienia najgorszą rzeczą, która mogła się przydarzyć wolnej Polsce.

Doskonale to wiemy. Po co zatem to zło obłaskawiać i oswajać? Po co kreślić wady tego skrzywionego widzenia świata lekką satyryczną kreską, którą doskonale możemy znać z telewizyjnych kabaretonów, gdzie ktoś zawsze udaje prymitywnego dresiarza, głupiego gliniarza i chciwego klechę? "Wróg się rodzi" czasami podaje nam refleksję na tym poziomie.

Ale trzeba przyznać, że jeśli chodzi o naśladowanie realizmu tej stacji autorzy sztuki i aktorzy odrobili lekcję. To wszystko brzmi bardzo przekonująco. Mamy o. Rydzyka i jego nieprawdopodobnie chaotyczny sposób przemawiania; mamy wyluzowaną i spokojną konferansjerkę jednego z ojców prowadzących. Wszystko jest starannie dopracowane - przed nami w niewielkich mobilnych kubikach maluje się studio radiowe i pokój z kuchnią, w

którym mieszka emerytka. Świat powołany przez scenografa Tomasza Walesiaka wygląda realistycznie.

Pod względem aktorskim to spektakl wielkiej klasy. Ojca Rydzyka w błyskotliwej interpretacji Filipa Perkowskiego można byłoby nawet polubić. Bohater jest uroczo nierozgarnięty, pełen drobnych wad. Bez trudu jest w stanie zdobyć sympatię tłumu, gdy staje na skraju sceny i wykonuje dla nas na gitarze "Knockin' on Heaven's Door" Boba Dylana.

Wspaniałą rolę, kolejną w swoim dorobku, stworzył Arkadiusz Walesiak, który tutaj zagrał jednego z ojców redaktorów. Idealnie naśladuje ton radiomaryjnych prezenterów. Ujmuje naturalnością i bawi się swoim delikatnym radiowym głosem.

Nie sposób odwrócić wzroku od Jolanty Teski i Michała Marka Ubysza, którzy wcieliili się w role prawników podczas procesu inspiratorów rwandyjskiej tragedii przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym. To jest gra spokojna, niemal filmowa, jakby kamera pokazywała twarze aktorów w zbliżeniu. Na tych dwóch postaciach mógłby się oprzeć scenariusz rasowego dramatu sądowego.

Maria Kierzkowska wspaniale sportretowała zakonnice, które pojawiają się na antenie stacji - stremowane perspektywą występowania przed mikrofonem, skromne, nieco speszone i zagubione. Brawa też się należą Matyldzie Podfilipskiej, która śpiewała piosenki napisane do słów Zuzanny Ginczanki. Jej rola była po prostu nie z tego świata - teksty zabrzmiały tak wspaniale, że moim zdaniem powinny się doczekać całkowicie naturalnej kontynuacji w formie koncertu. To nie byłoby możliwe, gdyby nie ścieżka dźwiękowa Eli Orleans.

### **Współczesny Hitler**

Zasadniczą osią spektaklu jest zestawienie toruńskiej rozgłośni z Radiem Wolności i Tysiąca Wzgórz, które zainspirowało rzeź w Rwandzie w połowie lat 90. Autorzy sztuki synoptycznie porównują te historie: w obu sytuacjach mamy podzielony kraj, jest radio z charyzmatycznym liderem, który nie stroni od polityki. W Rwandzie wystarczyła iskra, aby mieszkańcy wymordowali się nawzajem, a u nas przypadki przemocy były bardzo sporadyczne. Ciężko właściwie stawiać obok siebie Polskę i Rwandę - z jednej strony mamy ostrą walkę polityczną i posługiwanie się mową nienawiści, a z drugiej dochodzi jeszcze smutny finał tych praktyk w postaci milionowego ludobójstwa. Takie porównanie zdaje się odbierać powagę temu, co wydarzyło się w Afryce. U nas to zaledwie figura retoryczna z publicystyki liberalnych mediów, a tam w 100 dni zginęło milion ludzi. Milion ludzi.

Nie wiem, czy autorom sztuki zależało na ośmieszeniu tej retoryki, która nakazuje widzieć w przeciwnikach politycznych populistów posługujących się goebbelsowską propagandą. Możliwe, że słusznie Kącki i Groszyńska wprowadzili na scenę postać Adolfa Hitlera, który w wykładzie stylizowanym na te znane z TED ośmieszył propagandę w Radiu Maryja jako bez troskie i nieszkodliwe w gruncie rzeczy zawołanie starców.

Ten wątek każe nam jednak się zastanawiać, jak postrzegamy współcześnie faszyzm. Porównanie jakichkolwiek praktyk z hitlerowskimi - nie tylko według internetowej etykiety - skutecznie kończy każdą cywilizowaną dyskusję. Zarzut, że ktoś uprawia goebbelsowską

manipulację albo posługuje się nazistowską argumentacją, bardzo łatwo jest obśmiać, przedstawić jako grubą przesadę i obalić. Taka jednak strategia sprawia, że tracimy czujność - szukamy faszyzmu tylko tam, gdzie jest palenie książek, marsze z pochodniami, swastyka, hajlowanie i młodzi mężczyźni w brunatnych koszulach. Kiedy brakuje nam tego doskonale rozpoznawalnego kostiumu, kiedy odzieramy go z całej jego karykatury, nie szarżujemy z zarzutami.

A tymczasem Hitler z "Wróg się rodzi" przypomina prelegenta, który na wykładzie TED opowiada zwykle o nowinkach technicznych i naukowych. Adolf (w tej roli wspaniały Bartosz Woźny) przemawia po niemiecku z austriackim akcentem i niemal nie zdradza swojej prawdziwej natury - nie piekli się, stroni od szerokich teatralnych gestów. Tak wyglądałby Hitler, gdyby miał swój kanał na YouTube. To przerażająca wizja, która się spełnia na naszych oczach w nowoczesnych mediach.

### **Za dużo wszystkiego**

Autorzy spektaklu przesadzili z liczbą kontekstów, w które zamierzali wpisać tę historię. Jest rwandyjskie radio, wątek brata geja i samotnej staruszki. Są wykłady Hannah Arendt i Adolfa Hitlera, a także opowieść o Zuzannie Ginczance i rozmowy prawników, którzy zajęli się Rwandą w Międzynarodowym Trybunale Karnym. Kącki i Groszyńska chcieli powiedzieć za dużo i tekst zapadł się pod swoim ciężarem - sztuka otwiera wiele drzwi, ale nie potrafi w odpowiednim czasie ich domknąć; zadaje pytania i od razu służy gotową odpowiedzią. W efekcie otrzymujemy jednostronne widowisko, pełne generalizacji i taniej w gruncie rzeczy dydaktyki. Od takich uogólnień wolna jest część literatury faktu jak na przykład "Imperator" Piotra Głuchowskiego i Jacka Hołuba - najpełniejszy i najambitniejszy jak dotąd portret Ojca Dyrektora.

Cieszę się, że toruński teatr jako pierwszy podjął kłopotliwy dla większości mieszkańców wątek Radia Maryja, chociaż mam wrażenie, że doskonały czas na tego rodzaju dyskusję był wtedy, kiedy rozgłośnia Tadeusza Rydyka przeżywała lata świetności. Dziś też ma się wspaniale, ale tak naprawdę jest beneficjentem politycznych zobowiązań i licencji sprzed dwóch dekad. Wtedy taka sztuka rzeczywiście mogłaby otworzyć Polakom oczy. A tak w teatrze oglądamy przedstawienie, w które ktoś między kabaretowe scenki dla niepoznaki włożył kilka humanistycznych zawołań i społecznych ostrzeżeń - jak się im bliżej przyjrzymy, szybko się przekonamy, że nie o nas ta historia i nie do nas ta mowa.»

**Grzegorz Giedrys**

Gazeta Wyborcza - Toruń nr 81

05-04-2019